WIDNOKRĄG
TYGODNIK KULTURALNY
UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 4 (226)
Rok VI
30 I 1966 r.

Rzeszowie

JAN GRYGIEL

Serce i plan

Gdy mówi się i pisze u nas o zagadnieniach polityki kulturalnej, gdy rozlicza się z wykonywania obowiązku upowszechnienia kultury i działalności k. o. istytucje i placówki do tych zadań powołane (biblioteki, teatry, kina, domy kultury, TWP itd.), rzadko ktoś wspomni Dom Książki — jako partnera i sojusznika w tej samej grze. Utarło się jakoś w naszej świadomości pojęcie Domu Książki jako przedsiębiorstwa ściśle handlowego,

Warto przyjrzeć się bliżej tej obustronnej działalności Domu Książki w Rzeszowie i województwie rzeszowskim — zwrócić uwagę na potrzeby, osiągnięcia i niedomagania w popularyzacji książki.

W Rzeszowie, systematycznie wraz z ilością mieszkańców, rośnie sieć księgarń. Władze wojewódzkie i miejskie na ogół rozumieją potrzeby przedsiębiorstwa, a bardziej jeszcze potrzeby kulturalne miasta w tej dziedzinie. Ale 9 księgarń w ich obecnym stanie, mimo iż ilość ta jest bliska obowiązującym normatywom, nie rozwiązuje w pełni wszystkich problemów stojących przed Domem Książki. Dwie nowo powstałe wyższe uczelnie w mieście, które będą się szybko rozwijać, a także dynamiczny wzrost miasta stwarzają nową sytuację w dziedzinie zaopatrzenia w książkę.

Nie ma dotąd w mieście dużej księgarni naukowej z wszystkimi wydawnictwami periodycznymi, skryptami, czasopismami naukowymi — a w przyszłości muszą pracować co najmniej dwie tego typu. Jedna z wydawnictwami z zakresu nauk technicznych, druga humanistycznych. Istnieje konieczność wprowadzenia większej niż dotąd specjalizacji księgarń. Księgarnie w miastach powiatowych i miasteczkach nie wszystko mogą dostarczyć swym klientom. W niedużych ich lokalach nie można pomieścić pełnego asortymentu wydawnictw, no i pracownicy nie mają odpowiedniego przygotowania, by prowadzić np. dział muzyczny, medyczny czy techniczny. Miasto wojewódzkie winno więc mieć specjalistyczne księgarnie wysyłkowe, które mogłyby zaspokoić najbardziej wyszukane potrzeby klientów. Przydałaby się jakaś jedna księgarenka z wydawnictwami dla dzieci i młodzieży. Konieczna jest w mieście wojewódzkim księgarnia rolnicza. Jeśli dodam jeszcze do tego konieczność modernizacji lokali księgarń, tak by powstał wszędzie wolny dostęp do półek oraz pilną potrzebę specjalistycznego szkolenia kadry księgarskiej w mieście — to otrzymamy dość bogatą listę spraw do załatwienia. Nie są to postulaty wygórowane, gdyż statystyczny mieszkaniec Rzeszowa wydaje rocznie na książki 120 złotych, a 25 proc. rocznego planu finansowego Domu Książki dla całego województwa realizuje się w tym tylko mieście.

I na zakończenie tego rejestru — postulat, który jest mi szczególnie bliski — otwarcie w Rzeszowie prawdziwej księgarni antykwarycznej. Antykwariat zaspokajałby potrzeby nie tylko bibliotek naukowych i studentów, lecz także licznych bibliofilów. Mógłby stać się czymś w rodzaju klubu bibliofilskiego gromadzącego na rozmowy i szperanie po półkach hobbystów, a więc jednym z ośrodków dobrej popularyzacji książki. Kącik komisowej sprzedaży antykwarycznej, który istnieje obecnie w księgarni przy ul. Kościuszki nie może spełnić prawie żadnej roli z powodu ciasnoty lokalu i braku pracownika specjalisty.

Dyrekcja Domu Książki zdaje sobie sprawę z istniejących potrzeb i będzie się starała je zaspokajać, ale bez pomocy władz miejskich, we własnym zakresie nie potrafi tego uczynić. Nie potrafi również bez zrozumienia ze strony wielu placówek i instytucji wyjść z książką do czytelników poza obręb księgarń. Myślę tu o organizowaniu stałych lub doraźnych stoisk z książkami. Zaczyna się ich pojawiać coraz więcej (hall w Prez. WRN, foyer teatru, hall kina „Zorza", stoisko w WSI i w WSP), ale to wciąż za mało. Dobrym miejscem na stały kiosk z wydawnictwami artystycznymi jest nowo otwary Dom Sztuki; przenośne stoiska z książkami winny się pojawiać w kuluarach obrad każdej większej sesji, konferencji lub narady.

Zakłady pracy — zwłaszcza te duże winny mieć również bardziej życzliwy stosunek do zakładowych kolporterów książki. A z tym różnie bywa. Podczas gdy w Hucie „Stalowa Wola" popularyzuje książkę 40 kolporterów, w Zakładach w Nowej Dębie 12, w WSK w Mielcu 20, w WSK w Rzeszowie nie ma ani jednego. A przecież tak wielu pracowników dojeżdża do tego zakładu ze wsi i miasteczek, w których o zakup książki niełatwo. Brak kolportażu książki w WSK Rzeszów wynika chyba z obojętności, a nawet niechęci kierownictwa zakładu do tej formy upowszechnienia czytelnictwa wśród załogi. Czyżby istotnie ten kwadrans przed zakończeniem zmiany (tyle bowiem czasu potrzebuje kolporter, by założyć swoje stoisko i obsłużyć później wychodzących z pracy robotników) odgrywał tak zasadniczą rolę dla produkcji? A w wielu zakładach, nawet tam, gdzie kolporterów nie brak, tak trudno o to 15-minutowe zwolnienie. Utrudnianie zaś jakiejkolwiek formy obiegu książki, zwłaszcza technicznej w zakładzie przemysłowym, przy tej rzeszy chłopo-robotników, która istnieje w naszym województwie jest działalnością samobójczą. Gdyby więc właśnie nie brak zrozumienia w niektórych ośrodkach — 500 kolporterów, bo tylu działa w naszym województwie, mogłoby wiele zrobić dla czytelnictwa.

Zasadniczą jednak rolę w upowszechnianiu książki mogą i powinni odegrać ofiarni, wykwalifikowani i sercem bliscy książce księgarze. Chociaż bowiem zdarzają się książki „cegły" zalegające półki, to jednak księgarz nie może nimi handlować jak cegłami, śledziami czy jarzynami. Nie wystarczy stanąć przed regałem, podać żądane wydawnictwo i przyjąć należność.

Większe księgarnie posiadające odpowiednie warunki lokalowe winny obok działalności handlowej prowadzić także prace kulturalno-oświatowe. Mogą to być spotkania czytelników z krytykami i pisarzami, dyskusje nad książkami, wieczory poetyckie, przeglądy nowości wydawniczych. Księgarze mogą i powinni inspirować, oczywiście tam gdzie istnieje sprzyjająca atmosfera organizowanie Klubów Miłośników Książki. Jeśli przed laty księgarnie mogły być miejscem towarzyskich spotkań bibliofilów i rozmów o pisarzach i wydawnictwach, powinny i dziś spełniać tę rolę. O ile wiem istnieje już taki Klub przy księgarni w Jaśle i zanosi się na powstanie drugiego w Rzeszowie, w księgarni przy ul. Jagiellońskiej. Ta księgarnia prowadzi zresztą już od dość dawna działalność kulturalną. W ciągu ubiegłego roku i wcześniej odbyło się w niej wiele interesujących imprez i spotkań (z Wilhelmem Machem, Kazimierzem Lepszym, Janem Bolesławem Ożogiem, Ludwikiem Maciągiem, Ernestem Bryllem, Ziemowitem Fedeckim, Adamem Klimowiczem i innymi). Stworzono więc już klimat sprzyjający działalności Klubu Miłośników Książki. Ale takie kluby winny powstawać także i w innych miastach powiatowych. Wtedy książka dla księgarzy przestanie być wyłącznie przedmiotem handlu, a stanie się przedmiotem pasji i zainteresowania życiowego, co narazie jest zjawiskiem występującym dość rzadko.

A co w małych miasteczkach i osadach? Lepiej niż było, ale sporo zostało do zrobienia. Wszędzie w takich miejscowościach, jak Sieniawa, Pruchnik, Pilzno, Baligród, Krajowice, Kołaczyce, Tyczyn, Zagórz itd. istnieją już księgarnie i wszędzie wykonują plany finansowe. To znaczy, że były one tam potrzebne i dzięki nim właśnie statystyczny mieszkaniec woj. rzeszowskiego wydaje rocznie na książki około 40 zł, podczas gdy w roku 1950 wskaźnik podobny wynosił 3 zł 34 grosze. Jeśli w tak małym mieście jak Strzyżów księgarnia miała w ubiegłym roku 760 tysięcy złotych obrotu w sprzedaży książek, jeśli samych reprodukcji artystycznych sprzedano w tym półwiejskim mieście za około 30 tysięcy złotych, to znaczy, że obieg książki w naszym województwie jest bardzo duży i że pomijanie roli księgarzy i Domu Książki w służbie polityki kulturalnej jest dowodem braku rozeznania w sytuacji.

Trudno jednak z gorącym sercem odnosić się do spraw upowszechnienia książki, gdy w księgarni jest tak zimno, jak np. w Czudcu. W czasie półgodzinnego pobytu w pawilonie z dyr. Biernackim chłód przejął nas do szpiku kości, mimo iż nie zdejmowaliśmy palt. Niewiele cieplej było w księgarni w Strzyżowie, gdyż stare kaflowe piece rozgrzewają się późno i mało dają ciepła. Podobne warunki istnieją w większości księgarń — pawilonów w małych miejscowościach. Dyr. Biernacki przyrzekł w rozmowie, iż przedsiębiorstwo zrobi wszystko, by w najbliższym czasie zainstalować w tych księgarniach gaz opałowy lub centralne ogrzewanie, w zależności od warunków miejscowych.

Powiedziałem wyżej, iż trudno mieć gorące serce w takich lodowniach, a jednak można. Upewniły mnie w tym rozmowy z P. Marią Wojnarowską z Czudca, P. Tadeuszem Markowiczem ze Strzyżowa i P. Janasem z Krosna. Ci ludzie nie przybyli do księgarstwa z przypadku. Im to, między innymi, zawdzięczam na ogół optymistyczny obraz 15-letniej działalności Domu Książki w Rzeszowskiem.

EDWARD GRZELAK

WOLNOŚĆ SUMIENIA

ZASADA wolności sumienia i wyznania zdobywa w świecie współczesnym coraz większe uznanie. Częściej niż niegdyś toruje ona sobie drogę do fundamentalnych dokumentów ustrojowych poszczególnych państw. Znalazła też odbicie w Deklaracji Praw Człowieka i Deklaracji Praw Dziecka ONZ. Aktualnie Komisja Praw Człowieka ONZ przygotowuje konwencję o ochronie prawa do wolności myśli, sumienia, wyznania i przekonań. Wspomnijmy, że utorowała ona sobie drogę na forum II Soboru Watykańskiego (schemat „o wolności religijnej").

* * *

Hierarchia Kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce, podobnie jak do niedawna Kościół w ogóle, zawsze zdecydowanie przeciwstawiała się uznaniu zasady tolerancji religijnej, nie mówiąc już o wolności sumienia i wyznania.

Zasada wolności sumienia i wyznania jest w Polsce — w praktyce władz państwowych — interpretowana w jak najszerszy sposób. Zresztą łatwo się o tym przekonują odwiedzający często Polskę zachodni mężowie stanu oraz przyjeżdżający z Zachodu dziennikarze i inni goście, bez względu na ich poglądy polityczne. Tak np. kard. Koenig, który odwiedził Polskę w 1963 r. nie dostrzegł żadnych elementów dyskryminacji Kościoła i katolików. I nie sposób rzecz podobną dostrzec, skoro w Polsce każdy obywatel ma prawo swobodnego wyboru światopoglądu, każdy wierzący korzysta z nieograniczonych możliwości praktyk religijnych, a kościoły i duchowni nieskrępowanie wykonują swe funkcje religijne. Jednocześnie zaś w pełni zagwarantowane jest równouprawnienie wszystkich obywateli — niezależnie od tego, czy należą oni do jakiejś grupy wyznaniowej, czy są niewierzący.

Rzecz zasądza się jednak niewątpliwie na fakcie, iż w niektórych wpływowych kołach kościelnych chciałoby się zasadę wolności sumienia i wyznania interpretować w sposób zupełnie dowolny, przy czym zdarza się, że pojęcie to wtłacza się w treści całkowicie wykraczające poza jej granice, jak np. prawo zakładania organizacji wyznaniowych o charakterze ściśle politycznym. Nadto autorzy owych dążeń usiłują ignorować fakt, że zasada wolności sumienia i wyznania musi opierać się na poszanowaniu interesów ogółu obywateli, co przesądza o obowiązku państwa zapewnienia m. in. a) bezpieczeństwa tego państwa, b) porządku i spokoju publicznego, c) moralności i obyczajności publicznej, d) równości praw obywateli, e) ochrony zdrowia społeczeństwa, f) swobody nauczania, g) dobrobytu społeczeństwa itd. Przy czym — zauważamy — ograniczenia te dotyczą wszystkich obywateli niezależnie od ich wyznania i wszystkich kościołów i związków wyznaniowych oraz w równej mierze organizacji i stowarzyszeń laickich.

* * *

Kwestia ograniczeń i ochrony prawnej zasady wolności sumienia i wyznania nie jest sprawą nową. Już Deklaracja Zgromadzenia Francuskiego z 26. VIII. 1789 r., głosząc wolność sumienia i wyznania zastrzegła, że korzystanie z tego prawa nie może zakłócić „porządku publicznego ustanowionego przez ustawę". Zresztą burżuazyjna doktryna prawna, znajdująca odbicie w licznych pracach uczonych idzie i stoi dziś na jednoznacznym stanowisku, iż państwo ma prawo regulowania bytu prawnego kościołów i związków wyznaniowych z racji swego zwierzchnictwa nad wszelkimi instytucjami i organizacjami społeczno-politycznymi i kulturalnymi, a także, że ma prawo wprowadzania ograniczeń wybujałych tendencji kościołów i związków wyznaniowych do nadużywania wolności wyznania do celów politycznych. Stąd płyną ograniczenia zawarte w konstytucjach wielu państw. M. in. francuska ustawa o rozdziale Kościoła od państwa z 9 grudnia 1905 roku do dziś obowiązująca, zapewniając wolność sumienia i swobodę wykonywania kultu religijnego, równocześnie wprowadzała niezbędne ograniczenia. Stanowi ona m. in. a) nadzór władz państwowych nad zebraniami mającymi na celu odprawianie kultu, b) zakaz odbywania zebrań politycznych w lokalach na cele kultu religijnego przeznaczonych, c) konieczność każdorazowego uzyskiwania zezwoleń na procesje i inne ceremonie zewnętrzne, d) zakaz dekorowania emblematami religijnymi pomników publicznych i budowy takowych, e) używanie dzwonów uwarunkowała uzgodnieniem z zarządami władz miejskich. Nadto wprowadziła ona odpowiedzialność karną osób duchownych za obrazę — w mowie i piśmie, w wystąpieniach publicznych — urzędników i oby-

Grafika Barbary Smoczeńskiej

CIĄG DALSZY NA STR.

Zawieja, której nie przewidywaliśmy wyjeżdżając z Rzeszowa, tutaj zasypuje szosę ze wszystkich stron „dukielska", jak określa ją kierowca, powszednia w okolicach Jasła.

Podkarpackie wioski błyszczą w śniegu, okiść srebrzystą zasłoną zwisa nad drogą i drzewami. Ale nie chwyta się jakoś biało wylakierowanej tablicy, na której otoczony naiwnymi, zielonymi liśćmi napis przypomina wiosenne dni Jasła, niedawne 600-lecie.

Mimo niezbyt pomyślnych warunków drogowych, Jasło w ostatnich dniach ciągle podejmuje gości. Wielu z nich było tu z okazji obchodów 21 rocznicy wyzwolenia: po tym dniu pozostało historyczne działo — pomnik, które na śródmiejskim placu połyskuje w zimowym słońcu.

Goście z Rzeszowa, mieszkańcy powiatu i, najliczniejsi, mieszkańcy samego Jasła, szybko zapełniają salę kina „Syrena", gdyż pokaz filmu o ich mieście, również objęty programem obchodów rocznicy wyzwolenia, wzbudza zrozumiałe zainteresowanie.

Są gospodarze powiatu, i ci, którzy ongiś walczyli na tym terenie o sprawiedliwość społeczną, a potem organizowali ruch oporu, pierwsze konspiracyjne rady narodowe, są przedstawiciele młodego pokolenia, pamiętający przede wszystkim moment straszliwej ewakuacji i hitlerowskiego niszczenia miasta. No i oczywiście serdecznie witana ekipa realizatorów filmu.

...Zaczyna się od dokumentów, poświadczających założenie Jasła i jego ponad 600-letnią tradycję; kolejno, w kalejdoskopie stuleci, przewijają się inteligentnie, a zwięźle ujęte dzieje jasielskiego miasteczka. Przewertowano setki starych rycin, zdjęć, źródłowych dokumentów zachowanych w archiwach, w bibliotekach uniwersyteckich, w muzeach, w pracowniach naukowych, zanim część z nich tylko w krótkim o ś w i a t o w y m filmie znalazła miejsce.

Czuje się wzrastające na sali zainteresowanie, w miarę jak ekran filmowy przybliża dzisiejszemu widzowi Jasło, które trwa już w zasięgu jego pamięci i co chyba ważniejsze, jakie ż y j e w zakamarkach jego s e r c a.

Jak w klasycznie skomponowanym utworze muzycznym, trochę jak w antycznej tragedii, sceny burzenia Jasła, wielkiej martyrologii jego mieszkańców, w które wmontowano fragmenty autentycznego, nakręconego przez hitlerowców filmu — na tle patetycznej muzyki — stanowią ów dramatyczny szczyt, po którym następują pogodniejsze już, bardziej optymistyczne sekwencje.

Obszerną część realizatorzy poświęcili Jasłu dzisiejszemu, jego ulicom i zaułkom, krajobrazowi skąpanemu w jasnym świetle dnia, uchwyconemu bez żadnych udziwnień, ze zwyczajnymi ludźmi, których swobodne ruchy — nic z pozy do kamery — dobrze wkomponowane są w powszedni dzień pięknie odbudowanego miasta. Kamera zagląda też, na krótko zresztą, do kluczowych zakładów przemysłowych, do „Pektowinu", do „Gamratu", do Rafinerii Nafty.

O wkładzie Jasła w dorobek ogólnonarodowej kultury mówią w filmie wybitni polscy literaci, uczeni — absolwenci jasielskiego gimnazjum. Ach, jakie piękne świadectwo wystawia swojej dawnej szkole Stanisław Pigoń! Z jakim sentymentem wspomina jasielskie szkolne lata i to, co wyniósł ze szkolnej ławy jeden z najznakomitszych matematyków, ceniony na obu półkulach uczony profesor doktor Hugo Steinhaus, który mówi także o profesorze Weiglu pogromcy zarazków tyfusu — również wychowanku jasielskiej szkoły.

...A dyrektor Wytwórni Filmów Oświatowych Marek Garlicki, realizator i reżyser filmu, jaślanin z pochodzenia, Jerzy Popiel — Popiołek po spotkaniu w kinie z publicznością, uczestniczą w gorącej dyskusji na temat co dopiero zaprezentowanego filmu z gospodarzami miasta i powiatu, z jego aktywem kulturalnym, z członkami ZBoWiD (którzy dzisiaj otwierają tutaj swój klub).

Jasło to ich wielka miłość. Nic więc dziwnego, że oceniając film pozytywnie, chcieliby jednakże widzieć w nim te aspekty, jakie, ich zdaniem, zbyt skromnie zostały wyeksponowane.

Chodzi mianowicie o okres okupacji, czas powstawania komórek PPR, tworzenia się konspiracyjnych rad narodowych. Ten wielki rozdział historii walk, oporu, martyrologii, wymagałby nie oświatowego, z natury rzeczy krótkometrażowego, lecz odrębnego f i l m u f a b u l a r n e g o.

— No, a piosenka o Jaśle, którą nagrywaliście?

— A koncert kolejarskiej orkiestry? - A fragmenty z Dni Jasła, które filmowaliście, lecz nie zostały uwzględnione w filmie?

— Okazuje się, że ekipa dysponuje obfitym materiałem, również i o wadze dokumentów. Czyniono m. in. próby sfilmowania przysięgi, jaką członkowie jasielskich, konspiracyjnych rad narodowych składali podczas pierwszych zebrań. Rotę ślubowania odbierał tow. Paweł Karp, obecny na pokazie, żywo uczestniczący w dyskusji.

Cały ten materiał przekazany zostanie amatorskim klubom filmowym w Jaśle, Niegłowicach, a miasto otrzymuje na własność kopię filmu o s o b i e (więc jeszcze w dniu premiery o godzinie 16 oglądać go będą uczestnicy „zwyczajnego" seansu, a wieczorem ekipa realizatorów zaprezentuje go mieszkańcom Niegłowic).

Kontrowersyjna wymiana zdań prowadzona jest z dwu pozycji: realizator, zafascynowany nowym Jasłem, dążył do stworzenia etiudy o rodzinnym, zwycięsko z popiołów odrodzonym mieście. I wszyscy zgodni są z tym, że zamiar powiódł mu się w całości.

Lecz równocześnie, obyczajem zakochanych, pragnęliby widzieć tutaj nie tylko to wszystko, co świadczy o urodzie, sile, lecz także o szlachetności, o niezłomnym harcie, o tych zaletach, z których miasto ich umiłowane zasłynęło na Rzeszowszczyźnie.

Wydana ostatnio z okazji jubileuszu 600-lecia praca znanych uczonych z krakowskich wyższych uczelni, miejscowych historyków i badaczy, to rzetelna, wielka księga c a ł e j historii Jasła i powiatu. W dowód uznania za swój wysiłek otrzymują ją realizatorzy „Jasła", by pamiętali nadal, by powrócili tu jeszcze, by swą pracą i kamerami znowu uświetnili kwitnący dziś podkarpacki gród.

A już działacze z Rzeszowa rzeczowo pertraktują o kopię dla wojewódzkiego miasta; i już rozważa się możliwość wyświetlenia jasielskiej suity w ogólnopolskim programie telewizyjnym.

Wymaga tego nie tylko ambicja zakochanych w Jaśle, pragną tego nie tylko rozliczni jego przyjaciele.

W ostatnim roku obchodów Millenium, to miasto przez hitlerowców zniszczone doszczętnie, odbudowane w Polsce Ludowej, i dzisiaj, jak ongiś, już 14-tysięczne, i dziś piękniejsze niż kiedykolwiek, winno przypominać chlubę swej walki, dzieje zagłady i triumf swej odbudowy.

Niechaj więc „zawistnicy", którzy zamierzaliby wypominać, że nie tak dawno przecież wielki telewizyjny turniej dwu rzeszowskich miast, pokazał krajowi i światu Jasło i Krosno w pełni ich krasy, zamilkną pod naporem — nie, nie sentymentu, i nie argumentów ze strony z a k o c h a n y c h...

Tu swoje racje p r z e d k ł a d a h i s t o r i a.

CECYLIA BŁOŃSKA

Gromadzimy pamiątki

Tysiąclecie Państwa Polskiego stało się okazją do podsumowania osiągnięć naszego narodu. Obchody tej doniosłej rocznicy zobowiązują również do wydobycia postępowych tradycji historycznych poszczególnych miejscowości naszego kraju, jak również utrwalenia zdobyczy kultury.

Jedną z form, która się może temu celowi przysłużyć, jest podjęta w naszym województwie akcja tworzenia zbiorów pamiątek, nawiązująca do istniejących już społecznych inicjatyw zbierania różnych dokumentów przez nauczycieli, bibliotekarzy.

Opiekę nad akcją zbierania pamiątek będą sprawować Muzeum Okręgowe i Archiwum Państwowe w Rzeszowie, które udzielają konsultacji w swoich placówkach. W teren będą wyjeżdżać przedstawiciele tych instytucji, w celu udzielenia zainteresowanym bezpośrednich wskazówek przy organizowaniu i urządzaniu zbiorów pamiątek i ich dalszej działalności. Gromadzenie materiałów, dokumentów i różnorodnych pamiątek historycznych, związanych z najnowszą historią miejscowości, przyczyni się do uchronienia ich przed zaginięciem i zapomnieniem oraz pomnoży źródła pracy naukowej, wzbogaci materiały archiwalne i muzealne.

Inicjatorzy akcji zakładają, że zbiory pamiątek mogą pochodzić z wypożyczeń i darów ludności. Mogą to być np. fotografie ważnych momentów z okresu 20-lecia PRL, walk z okupantem, ludzi związanych z miejscowością i dokumentów ich działalności. Dużą wartość przedstawiają odezwy, ulotki i wycinki z prasy, dotyczące miejscowości, nagrania na taśmie magnetofonowej wspomnień byłych partyzantów, żołnierzy, zasłużonych działaczy i uczestników strajków chłopskich z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Godne przechowywania są również nagrania miejscowego folkloru (piosenki, gadki) oraz zabytki sztuki ludowej itp.

Pomysł organizowania zbiorów pamiątek jest cenny ale konkretne inicjatywy zależą już od działaczy społeczno-kulturalnych, którzy będą ich gospodarzami, oraz organizacji i instytucji powiatowych (towarzystwa naukowe i regionalne, muzea, DK, biblioteki, inspektoraty i wydziały kultury) powołanych do patronowania zbiorom, a wspólne działanie przy wyborze miejscowości, lokalizacji jest gwarancją powodzenia wszelkich poczynań. (stanski)

MIROSLAV HOLUB
(ur. 1923 r.)

Poeta o lapidarnych środkach wyrazu, wybitnym intelekcie, należy do tzw. średniej generacji poetów. Do literatury wkroczył stosunkowo późno — w 1956 r. zbiorem Dyżur. Od tego czasu wydał już sześć nowych zbiorów, z których dokonano wyboru. Wybór ten będzie nosił tytuł Anamneza.

„Kiedy pisze się o tym, że Holub jest z wykształcenia lekarzem i pracownikiem naukowym w dziedzinie mikrobiologii, łączą się z tym zazwyczaj uwagi o niecodziennym rodzaju jego wyobraźni, o nowym słownictwie, które dzięki niemu zadomowiło się w poezji, o rzeczowym, telegraficznym stylu jego wierszy itp. Przy czym często nie dostrzega się tego, że poezja Holuba jako całość jest w swym posłannictwie bardzo bliska drugiej sferze działania poety — medycynie. Także w poezji chodzi Holubowi o zdrowie człowieka i społeczeństwa. W niej, podobnie jak w swojej pracy naukowej, zajmuje się tworzeniem przeciwciał. Po wierszach Holuba lepiej się oddycha, często znajdujemy w nich nową chęć do życia, do walki z wielogłowym smokiem (nie) ludzkiej głupoty. Jego wiersze o lapidarności aforyzmów, skrzące się dowcipem wyróżniają się zaletami, które szczególnie dobrze uwidaczniają się na podium, nie pozostają na stronicach książek, lecz przenikają na sceny teatrów i teatrzyków małych form. W ten sposób Holub jest współtwórcą rewolucyjnego skoku w rozwoju poezji, jej wyzwolenia z książkowej klauzury".

Tak pisze o zbiorku Holuba Anamneza czasopismo Kulturni Tvorba.

RĘKA

Podaliśmy rękę trawie —
i oto zboże.
Podaliśmy rękę ogniowi —
i oto rakieta.

Powoli,
ostrożnie
podajemy rękę
ludziom,
niektórym ludziom.

MIŁOŚĆ

Dwa tysiące papierosów
Dwie setki kilometrów
od ściany do ściany
Połowa wieczności czuwania
bardziej niż śnieg nietrwałego

Tony słów
dawnych jak ślady
ptakojaszczurów na piasku.

Sto książek których nie napisaliśmy
Sto piramid których nie wznieśliśmy

Śmieci
Pył

Gorzko
jak na początku świata.

A jednak powiadam wam:
to było piękne.

z czeskiego przełożył JERZY PLEŚNIAROWICZ

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

NIC

Poznałam ją w czasie którejś z wędrówek po drogach i łąkach, spragniona ludzi niezwykłych w powszednich sytuacjach, aż nazbyt często rozczarowana do tych zwykłych, z którymi przyszło mówić i którzy ani rusz nie chcieli, czy nie umieli zrozumieć o co jeszcze idzie dziennikarce, kiedy już powiedzieli o faktach wszystko, a ona dalej usiłuje coś wyciągnąć, uparcie i denerwująco. Byli zdziwieni, kiedy pytałam skąd się wzięli właśnie na tym skrawku ziemi, dlaczego pozostali, choć tak trudno im szły te początki, nieufni, czy przypadkiem nie powie się za dużo rzeczy niepotrzebnych, takich, które później będą wymagały sprostowania czy tłumaczeń i po prostu milkli lub znowu powtarzali opowieść o fakcie, który oznaczał realną codzienność — miał swój początek i kres.

Wracałam, kleciłam z faktów artykuły, domyślałam się, a może przeczuwałam wnętrze poznanych ludzi, zawsze niesyta ich świata, ich logiki; tak bardzo czasem zajęta cudzym życiem, tym skrywanym przed obcymi, że aż czująca je wokół siebie, w przebiegu własnych dni powszednich.

Wchodzili w mój świat zapaleni społecznicy, którzy z entuzjazmem Kolumba odkrywali swoje Nowe Światy i w maniakalnej potrzebie wyrzucenia z siebie nagromadzonych umiejętności umilania ścieżek ludzkich sypiali 4 godziny na dobę, 20 poświęcając innym, była stara nauczycielka z jarosławskiej wsi, której przed dziesięciu laty wybijano szyby w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, by zmusić ją do złożenia rąk przy modlitwie, był samotny gospodarz w progu zaniedbanego domostwa, ponuro patrzący na zachwaszczone hektary, kiedy ja i szumiący pod płotem bez jednako byliśmy bezradni wobec zewu miasta, które połknęło jego dzieci, był lekarz w zasypanej śniegiem wioszczynie, który przyniósł w swój skromny dom wielką hubę z jemiołą i w zimowe wieczory czyścił dzicze czaszki. Różni byli. Wszyscy prawie w jesieni lat, po jakichś tam zawodach w trudnym życiu, niektórzy zafascynowani własną nieudaną przeszłością, jak werset z ewangelii umieli recytować fatalne zdarzenie, nie zdając sobie nawet sprawy, że obrasta ono w mity krzywd, a czas wypacza fakty i kruszy wytrzymałość na teraźniejsze.

Toteż kiedym poznała tę śliczną dziewczynę, subtelną, nieśmiałą, z pierwszej pracy, zdawało mi się, zadowoloną, przeczułam, że dorzucę jej wizerunek do garstki tamtych i będzie pewno radośniejszy, jasny młodością i dniami, których tyle jeszcze przed nią.

Była cienka, wysoka, z ogromnymi oczami, z kopicą wzdętego koka nad czołem, jakaś rozchwiana zewnętrznie, stąpająca jak bocian po pastwisku, krucho i ostrożnie. Na jednym z najmłodszych uniwersytetów przeorała literaturę polską, wyszła pełna podziwu dla niej z dyplomem magistra i bohatersko zrezygnowała od razu z pozostania wśród czeredy absolwentów kurczowo trzymających się miasta; przyjechała w Rzeszowskie.

Urodziła się na Podkarpaciu; mówiła o sobie — góralka. Ciągnęło ją w te nasłonecznione pejzaże, w radosny gwar mocno zaludnionych stron, a dodatkową przyjemność powrotu rodziła duma matki z dyplomu, z profesorskiego tytułu w bardzo niedalekiej perspektywie pierwszej pracy. Marzyła o „swoim" liceum, projektowała wykłady pasjonujące, szukała klucza do Modrzewskiego, Krasińskiego, Prusa i stara dewiza „nie nudzić ucząc", była wtedy jedyną obsesją na przyszłość. Gdzieś obok układała marzenia inne, osobiste — kolorową firankę, piękny świecznik, dziecinny wózek na ogromniastych kołach, męża — u 23-letniej dziewczyny rzecz to zupełnie nieosobliwa.

Poznałam ją na drugim krańcu Rzeszowskiego, już zgaszoną, spłoszoną — nauczycielkę zasadniczej szkoły zawodowej z mocno ograni-

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Z kijowskiego notatnika

SPOTKANIA OSOBLIWEGO

W Kijowie jestem już dwa dni, ale nie miałem czasu na zwiedzenie miasta. I jak tu wracać do kraju nie zobaczywszy chociażby Soboru Sofijskiego czy Pieczerskiej Ławry. Poznani dziennikarze kijowscy radzili mi iść także do Soboru Władimirowskiego na uroczystości prawosławnego Nowego Roku.

Pokus więc dużo, a jedna silniejsza od drugiej. Nie chciałem jednak zrezygnować ze szczególnie interesujących mnie rozmów i spotkań. Wolne pozostały mi tylko wieczory; w pierwszy oglądałem w Rosyjskim Teatrze Dramatycznym współczesną sztukę obyczajową „W dzień wesela", a następnego dnia w Ukraińskim Teatrze Dramatycznym im. Franki klasyczny folklor — „W niedzielę rano ziele zbierała". O życiu teatralnym Ukrainy napiszę może oddzielnie; przed paru laty oglądałem gościnne występy ukraińskich zespołów teatralnych, i szczerze mówiąc — nie byłem nimi zachwycony. To zaś, co zobaczyłem obecnie, zaskakuje różnorodnością i bogactwem repertuaru, a przede wszystkim wysokim poziomem artystycznym...

Z Dawidem Albertem, dziennikarzem „Wolnej Ukrainy", który towarzyszył mi w podróży do Kijowa, układamy program ostatniego, trzeciego dnia pobytu w tym mieście. Czekamy na telefon od pracownika Konsulatu Generalnego PRL Włodzimierza Skierkowskiego, który obiecał ułatwić mi spotkanie w Ministerstwie Kultury.

Przyjmie mnie I wiceminister kultury USRR Włodzimierz Mikołajewicz Jefremienko. Po rozmowie z wiceministrem mam jeszcze złożyć wizytę w redakcji „Literackiej Ukrainy" — organie Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy, a po południu — Sobór Sofijski. Z pozostałych atrakcji, a więc z Pieczerskiej Ławry czy Muzeum Historycznego, trzeba zrezygnować. W kraju sporo słyszałem o kijowskich uczelniach, ale niestety brak czasu...

* * *

Przed wizytą w Ministerstwie Kultury, krótkie podsumowanie pobytu w Kijowie; interesował mnie szczególnie jeden problem: polsko-ukraińska współpraca kulturalna. Niemało na ten temat rozmawiałem uprzednio z dziennikarzami lwowskimi...

Zainteresowanie sprawami polskimi na Ukrainie jest bardzo żywe. Dużym powodzeniem cieszy się polska prasa, we Lwowie np. „Trybuna Ludu", „Polityka", „Przekrój", „Przyjaciółka", „Kobieta i Życie" „Film". Mocną pozycję ma także książka polska, o czym przekonałem się odwiedzając księgarnie we Lwowie i Kijowie. Rokrocznie organizuje się na Ukrainie, a konkretnie w Kijowie, Lwowie i Odessie, dekadę książki polskiej.

W Polsce także mamy dekadę książki radzieckiej; czy nie byłoby jednakże rzeczą słuszną, aby w ramach tej imprezy zorganizować przynajmniej w województwach graniczących z Ukrainą dni książki ukraińskiej. Wyobrażam sobie to nie tyle jako przedsięwzięcie handlowe, lecz imprezę kulturalną, połączoną np. z wizytami ukraińskich pisarzy czy spotkaniami czytelników z tłumaczami tej literatury. Interesujące i pożyteczne byłyby także — jak sugerowano mi podczas rozmów — spotkania poetów. A we współczesnej poezji ukraińskiej obserwuje się coraz więcej ciekawych zjawisk.

Tego rodzaju imprezy przyczyniłyby się z pewnością do bliższego poznania, w większym stopniu zainteresowałyby może tłumaczy i wydawców polskich współczesną literaturą ukraińską.

Wysuwam tylko myśli bez bliższego ich sprecyzowania. Sądzę, że Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz zainteresowane instytucje kulturalne ustosunkują się do tych sugestii. Jedno jest pewne: mamy partnerów, którzy w zakresie popularyzacji kultury polskiej uczynili już sporo.

* * *

Wiceminister Włodzimierz Jefremienko, młody, trzydziestoparoletni mężczyzna, odznacza się bezpośrednim sposobem bycia. Rozmowa nawiązuje się łatwo. Z interesujących mnie zagadnień polsko-ukraińskiej współpracy kulturalnej, tow. Jefremienko podejmuje głównie sprawy teatralne. Pozostałe dziedziny są w kompetencjach innych instytucji. Mój rozmówca mówi swobodnie, swój wywód ilustruje wieloma przykładami, nie brak zwięzłych, a zarazem dowcipnych komentarzy, ani cienia deklaratywności. Nie był to w pełnym tego słowa znaczeniu wywiad prasowy, lecz po prostu rozmowa, z której wykorzystuję materiał faktograficzny.

Na Ukrainie nie mniejszym powodzeniem niż książka i prasa polska cieszy się także nasza dramaturgia. Obecnie w 17 teatrach Republiki grane są polskie sztuki. W repertuarze znajdują się przede wszystkim pozycje klasyczne, a wśród nich „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej; ze sztuką tą był w Moskwie jeden z najlepszych teatrów ukraińskich, kijowski Rosyjski Teatr Dramatyczny, odnosząc w stolicy ZSRR wielki sukces. Do Moskwy wyjedzie także kijowski Teatr Młodego Widza ze sztuką Korczaka „Król Maciuś I". Do żelaznego repertuaru należą m. in. komedie Fredry, a „Halka" Moniuszki od lat nie schodzi z afiszów.

Byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że teatr obwodowy w mieście Chmielnickij wystawił „Chłopów" Reymonta w adaptacji scenicznej Czajkowskiego; przedstawienie odniosło poważny sukces w Kijowie i Moskwie, a „kompetentni goście z Polski — podkreśla tow. Jefremienko — orzekli, iż klimat powieści jest wiernie oddany".

W Kijowie trwają przygotowania do wystawienia „Krakowiaków i górali" Bogusławskiego; Ministerstwo Kultury zamierza zaprosić polskiego reżysera i scenografa. Prowadzone są już w tej sprawie oficjalne rozmowy. Tow. Jefremienko szczególnie mocno podkreślił potrzebę tego rodzaju współpracy: wymiany reżyserów, scenografów i aktorów, solistów i dyrygentów. Pierwsze kroki już uczyniono; bezpośrednie kontakty nawiązały opery kijowska i krakowska, w uroczystościach otwarcia Teatru Wielkiego w Warszawie wzięli udział artyści z Kijowa, a we Lwowie np. występowała ostatnio polska solistka Halina Bolechowska z ariami z opery „Halka" i „Eugeniusz Oniegin". Przykłady zresztą można mnożyć, ale możliwości współpracy w tym zakresie nie zostały jeszcze wyczerpane.

Mój rozmówca akcentuje jeden aspekt tego zagadnienia; bezpośrednia współpraca teatrów przyniesie nie tylko efekty artystyczne, ale ułatwi także wymianę informacji o nowych pozycjach repertuarowych. A z repertuarem współczesnym — mówi tow. Jefremienko — nie jest najlepiej. Wprawdzie dużym powodzeniem cieszył się „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego, a „Biuro dobrych usług" Kożusznika wystawiło aż 10 teatrów Republiki, dając dotychczas ponad 600 spektakli. By zainteresować teatry współczesną dramaturgią polską, Ministerstwo Kultury USRR wysłało ostatnio do wszystkich placówek wykaz sztuk polskich. Wiceminister Jefremienko spodziewa się rozszerzenia repertuaru.

Jeszcze kilka uwag o polskich tematach w muzyce ukraińskiej. Mikołaj Dremluga skomponował suitę symfoniczną — „W Polsce", której jedna część jest zatytułowana „Lenin w Poroninie". Inny zaś kompozytor, Borys Latoszyński jest twórcą symfonii „Nad brzegami Wisły" oraz „Grażyny" osnutej na motywach utworu Mickiewicza. A i polska muzyka jest na Ukrainie popularna, m. in. w roku chopinowskim utwory tego wielkiego kompozytora znalazły się w repertuarach wszystkich filharmonii.

Wiceminister Jefremienko podał mi jeszcze wiele innych przykładów współpracy kulturalnej; mówił o estradzie ukraińskiej, która w 1963 roku półtora miesiąca koncertowała w Polsce, o wystawie sztuki polskiej w Kijowie i Charkowie oraz filmie polskim cieszącym się niemałym powodzeniem.

* * *

W redakcji „Literackiej Ukrainy" przyjmuje mnie Iwan Zub, krytyk, zastępca redaktora naczelnego. W rozmowie uczestniczy także Anna Zajac, tłumacz literatury polskiej. Temat — rola naszych gazet w propagowaniu współczesnej literatury obu narodów. Moich gospodarzy interesują także różne aspekty życia kulturalnego w Polsce, głównie w województwach sąsiadujących z Ukrainą.

Gdy wychodziłem z redakcji, w przelocie niejako poznałem Stefana Olejnika, satyryka ukraińskiego, współpracownika tygodnika „Pierec' " („Papryka"), deputowanego do Rady Najwyższej USRR. Rozmowa bardzo krótka, gdyż S. Olejnik, wraz z kilkoma pisarzami, wyjeżdża na spotkanie autorskie. Twórczość tego satyryka znają czytelnicy naszych „Szpilek".

* * *

Nie pretenduję do gruntownego omówienia polsko-ukraińskiej współpracy kulturalnej; w reporterskim skrócie podaję tylko garść przykładów. Upoważniają one do stwierdzenia: na Ukrainie rzeczywiście uczyniono już sporo w zakresie popularyzacji kultury polskiej.

Sobór sofijski w Kijowie

kawiarni pod byle jakim pretekstem. Poszła dość chętnie i na pewno nie po to, by opowiadać mi swoją krótką historię w nieprzyzwoicie pustym, popstrzonym pikasami lokalu, kiedy za oknem szalała wiosna z niespokojną pogodą maja i tylko co odważniejsze ptaki przysiadały na parapecie, pajetkami oczek pochłaniając ciepłą strawę.

I jest czasem tak dziwnie, że opowiada się nieznajomym najbardziej ukryte myśli i nie ma tu nic do rzeczy nieodpowiednia chwila, miejsce, brak nastroju czy bodaj wiara w zrozumienie.

— To co ja pani mówię nie jest identyczne z oficjalną wersją mego światopoglądu, bo zawsze uważałam, że każda moja myśl przetrawiona, do której doszłam po drodze, jest wyłącznie moją sprawą i trzeba ją zamknąć we mnie przed obcymi, by nie była opacznie zrozumiana. Ciekawi panią inteligent w małym miasteczku — ma go pani przed sobą — tyle że niezbyt zadowolonego z sytuacji, ale pogodzonego z nią. Mam za sobą 24 lata, odrzuconą propozycję robienia doktoratu i pozostania w ośrodku uniwersyteckim, nieudany pierwszy krok nauczycielski w rodzinnych stronach, które nie potrzebowały polonistki w liceum, decyzję przyjazdu tu, gdzie nie znam nikogo, a gdzie wszyscy się już tak dobrze znają, że miejsca dla siebie wśród nich nie znajduję. Oczywiście, że są życzliwi, ba, może i lubią mnie, ale na tę parę godzin tylko, kiedy jesteśmy złączeni pracą — później każdy ma własne życie i ja mam własne — tyle że stało się nieustannym udawaniem. Udaję zadowolenie, wesołość, udaję, że nadmiar zajęć trzyma mnie w domu, że się ciągle spieszę, że ciągle brak mi czasu...

— Dlaczego tak udaję?

Wszyscy się spieszą, wszystkim brak czasu, mają setki zajęć w domach, z rodziną, z przyjaciółmi; nie chcę być inna. Tak bardzo nie chcę, że zaczynam się wstydzić dobrego makijażu, ciekawych fryzur, śmiałej sukni, choć zawsze uważałam za dużą sztukę zrobić z siebie elegancką dziewczynę przy pomocy paru groszy i cieszył mnie każdy łaszek wykoncypowany własną pomysłowością. Razi mnie jednak, kiedy zbyt odbijam od otoczenia, przeraża, kiedy otoczenie zaczyna mi to mieć za złe. Z tych przerażeń rezygnuję z zewnętrznej doskonałości, byle mieć spokój. I mam.

Nazywam to jednak wstępem do konformizmu: zaczyna się od niemalowania oka, kończy na wiele poważniejszych kwestiach. Chciałam przerobić „Farysa" jak tylko można najdokładniej; uważam go za najpiękniejszy poemat Mickiewicza, za samą doskonałość poezji. Umyśliłam sobie zdążyć, likwidując inne, pomniejsze sprawy objęte programem — zwrócono mi dość szorstko uwagę, że to nie liceum, że nikomu z tych chłopców nie jest potrzebny szczegół — wszystkim ogólne pojęcie o literaturze polskiej. Tak sobie przyrzekałam nie dać się przekonać do tego straszliwego sloganu o „ogólnym pojęciu", które zabija wrażliwość, zakładając z góry „biegi" po literaturze, ów pęd do mety, kiedy w ogóle przestaje być potrzebna w życiu i nigdy się do niej nie wraca właśnie przez niemożność wspomnienia bodaj o jednym szczególe, wyniesionym z lat szkolnych — przyrzekałam sobie i zrezygnowałam. Dla świętego spokoju. Dla ukłonu kierownika, który dobrodusznie powiada: zapalona głowa ta nasza Joasia. Gotowam znienawidzić Żeromskiego za tę Joasię i znowu to będzie nienawiść z uśmiechem na twarzy, do której się nie przyznam nikomu.

Męczą mnie te dziewczyny i chłopcy. Nic ich nie interesuje poza stopniem; wyzbyli się wszelkiej wrażliwości, nawet jeśli ją mieli kiedy, przez brak perspektyw na eksponowany zawód. Pewnie, że jak ja, nie wyszli z dobrobytu i pójdą w świat jako ślusarze, kowale, może technicy (jak dobrze pójdzie), dlatego marzą o inżynierze, agronomie, lekarzu — ale czy nie mogą zrozumieć, że inteligencja zupełnie nie jest równoznaczna z zawodem? Widziałam tylu inteligentnych gospodarzy bacówek, kowali — artystów i głupich jak but lekarzy czy inżynierów. Usiłuję im mówić o tym — śmieją się.

Czytam im o France i Kwirynie z „Dziewcząt z Nowolipek"; pasjonują się Kwiryną — dobrą, tępą dziewczyną z zadatkami na straszną mieszczkę, Frankę nazywając po cichu tym najbardziej smutnym słowem o rodzicielce, jakie urodziło się w naszym nazewnictwie...

— Czy pani lubi „Noce i Dnie"? Jest tam taki akapit o Barbarze Niechcicowej, kiedy ta zaniepokojona chwilą szczęśliwą wyszukuje w przewrotnej pamięci powodu do smutku, do trosk; boję się, bardzo się boję, że za bardzo mi to zaczyna się stawać bliskie.

Poznałam lekarza z pobliskiego ośrodka zdrowia, zaczął przyjeżdżać, nie było nam źle z sobą. Wolę nie mówić, jak skomentowały to dziewczęta z internatu. Nie miałam przecie żadnej pewności, czy rzecz się skończy małżeństwem. Teraz przyjeżdża raz na miesiąc — przycichło — tyle, że niewiele mamy z sobą do mówienia, jeśli nas dzieli 30 dni nieskonfrontowanych z sobą.

Ale to jest drobiazg, nie myślę na razie o małżeństwie.

Bardziej zazdroszczę profesorce tutejszego liceum jej programu i z przerażeniem stwierdzam, że jej rutyna równa się mojemu entuzjazmowi. Czy i ja kiedyś do tego dojdę?

— Pani mówi, że chętnie mnie kiedyś odwiedzi — gdzie? Zapomniałam powiedzieć, że mieszkam w takiej ciupeczce w internacie, w hałasie, ze wścibskim portierem, który nawet sprawdził kiedyś, czy rzeczywiście jest taki dziwny film, co nazywa się „Moderato Cantabile" i kończy się faktycznie po dziesiątej... Jak on mi wtedy lubi drzwi otwierać, po tej dziesiątej!...

W złośliwości niepojętej pilnuję, żeby nie sprawiać mu tych przyjemności — i dlatego muszę panią pożegnać.

* * *

Chwilę siedziałam jeszcze, a kiedy wyszłam w ciemne miasto, migająca w dali latarnia chybotliwym cieniem oświetliła srebrne drzewa i było tak, jak kiedyś, co w zimowy wieczór pogasły latarnie na krakowskich plantach i ze starej kamieniczki wtopionej w mury błyszczał żyrandol, zapalony ręką właściciela. Cicho i sentymentalnie.

JAN GERHARD

WIZYTA

„Stare przyjaźnie wymagają improwizacji"
Geogers Courteline

Szymański przyleciał w niedzielę rano z Londynu, gdzie— jak co dwa lata — był na konferencji lekarzy. Tylko jedną dobę mógł przeznaczyć na Paryż, bo we wtorek musiał absolutnie być w Warszawie.

U wyjścia z Le Bourget oczekiwał go Jarecki. Już z daleka wymachiwał kapeluszem. Padli sobie w ramiona, zajrzeli kilkakrotnie w oczy i skonstatowali, że się „nic a nic" nie zmienili. Walizki Szymańskiego zostały umieszczone w przechowalni, po czym obaj wsiedli pod ulewnym deszczem do czarnego peugeota-403 Jareckiego z czerwonym kadyceuszem lekarskim i napisem: „Medecin" na przedniej szybie.

Nie widzieli się od 1945 roku. Szymański zdemobilizował się i wrócił do kraju. Jarecki pozostał we Francji. W 1938 roku obaj jednocześnie zakończyli studia. Szymański był na ślubie przyjaciela tuż po Bożym Nadzeniu, a w czerwcu 1939 odprowadził go na dworzec, gdy Staszek i Barbara wyruszali w orbisowską podróż poślubną na zachód. Nigdy już nie mieli z niej wrócić. Wojna zastała młode małżeństwo gdzieś na Sycylii. Połączenia z krajem były natychmiast przerwane. Jareccy słali do Warszawy jedną depeszę po drugiej, ale żadna nie doszła do celu. Szymański maszerował w tym samym czasie zapylonymi drogami ojczyzny, pod nieustającym słońcem września lub w chłodzie nocy dramatycznego odwrotu. Opatrywał rany, amputował ręce i nogi. Tak dotarł nad Czeremosz, gdzie przypomniał sobie dawne szkolne wakacje i wspólne wycieczki ze Staszkiem i Barbarą w Czarnohorę, czy Gorgany. Przeszedł granicę węgierską i wkrótce znalazł się, jak wielu innych we Francji. Z Jareckim spotkał się w grudniu 1939 roku w Cobourgu, gdzie Sikorski skupił lekarzy. Rendez-vous wypadło akurat w rocznicę ślubu Jareckich. Od tamtej daty upłynęło zaledwie dwanaście miesięcy, ale oni wiedzieli, że runęła cała epoka. Staszek poszedł do Brygady Karpackiej, Szymański do Dywizji Grenadierów, Barbara była w Paryżu. Wojna stanowczo nie pozwalała im na przebywanie razem. Brygada Karpacka wraz ze Staszkiem popłynęła do Norwegii. Dywizja Grenadierów poszła w rejon Sarrobourga. Kierunki te nie są — jak wiadomo — zbieżne. Wiosną 1940 roku Narwik padł, a Francja kapitulowała. Jarecki wylądował w Anglii, Szymański w niemieckiej niewoli. Barbara dotarła z falą exodu uchodźców do Tuluzy i wkrótce przeszła Pireneje, aby przez Hiszpanię i Portugalię dotrzeć po wielu perypetiach, do męża w Londynie. Szymański uciekł po roku z niewoli i zdołał dobrnąć do okupowanego Lille. Przez cztery lata działał w konspiracji stworzonej tu przez polskich górników. Trochę jako lekarz, trochę jako partyzant z bronią w ręku. W 1944 roku Jarecki lądował w Normandii i bił się pod Falaise, podczas gdy Szymański wysadzał mosty na niemieckich tyłach pod Arras. Spotkali się znów gdzieś na granicy belgijskiej, która wtedy była tylko linią frontu i odtąd prawie przez rok służyli u Maczka. Barbara mieszkała w tym samym hoteliku, co w 1940 roku, w Paryżu. W jej pokoju toczyli gwałtowne dyskusje, których jedynym tematem było „wracać, czy nie wracać". Szymański wrócił, oni zostali. Odprowadzili go za Gare de l'Est i scena pożegnania była zupełnie taka sama, jak wtedy, gdy on odprowadzał ich w 1939 roku na Dworzec Główny w Warszawie. Tyle, że teraz wyjeżdżał on. Odmienność decyzji i rozstanie w niczym nie naruszyło ich przyjaźni. Wspomnienia potrafią łączyć. Przez tych kilkanaście lat korespondowali z sobą. Wymieniali dwa — trzy listy rocznie, nie zapominali o życzeniach świątecznych. Szymański piął się po szczeblach kariery naukowej. W 1951 roku został docentem. Od 1956 roku wyjeżdżał regularnie na międzynarodowe zjazdy i konferencje naukowe, ale jakoś nigdy nie udało mu się zawadzić o Paryż. Brak czasu był podstawową cechą jego trybu życia. Jarecki ordynował szereg lat na prowincji. Do Paryża przeniósł się dopiero w 1958 roku. Wtedy, gdy Szymański otrzymał katedrę na Uniwersytecie Warszawskim wraz z nominacją na profesora zwyczajnego. Obaj święcili te wydarzenia w swych listach i złożyli sobie wzajemne gratulacje.

— Baśka namówiła mnie do przeprowadzki. To jest kwestia zarobków i studiów dzieci — wyjaśniał Staszek.

Wycieraczki w rytmicznym ruchu wahadłowym oczyszczały szybę wozu z kropli deszczu, a Szymańskiemu wydawało się, że na ekranie tej szyby widzi poszczególne, kolejne obrazy ich życia, jak się jedne po drugich ukazują i znikają.

— Dobrze ci się powodzi? — zapytał.

— Doskonale. Zaaklimatyzowałem się tu. Oczywiście nie ma porównania z tobą, profesorze, ale zarabiam dobrze, mam spokojną egzystencję takiego prawdziwego francuskiego lekarza. Jurek zdaje maturę w przyszłym roku, Wiesia za dwa lata. Zbliżamy się do mety, stary!

W niedzielę ulice Paryża są prawie puste, więc szybko zajechali na miejsce.

Barbara przytyła, zaokrągliła się i miała siwe włosy. Szymański nie mógł w żaden sposób skonstatować, że nie zmieniła się „nic a nic", gdy wymienił z nią trzy głośne pocałunki w oba policzki i w czoło. Zdumiał się natomiast na widok Wiesi. Była podobna do matki wręcz zaskakująco: prawdziwa kopia Barbary z 1938 roku. Za to Jurek ze swoimi szerokimi ramionami, wąskimi biodrami, długimi nogami i twarzą o ostrym profilu nie przypominał nikogo z rodziny. Szymański czuł się wobec niego trochę onieśmielony. O ile Staszek nic się nie zmienił, a Barbarę miał przed sobą właściwie w dwóch egzemplarzach — przeszłości, jakby to nie brzmiało paradoksalnie, w córce i teraźniejszości w matce, o tyle chłopak wydawał mu się obcym intruzem w tym gronie. Wrażenie to jednak nie trwało długo. Minęło, gdy zasiedli przy niskim okrągłym stole ze szklaną płytą i Basia podała czerwone Cinzano w głębokich kieliszkach.

— Kapitalne, jak to wasze potomstwo mówi świetnie po polsku! — cieszył się Szymański. — Nie wyczuwa się ani śladu obcego akcentu.

— To zrozumiałe. Nie wyobrażam sobie rzeczy inaczej. Nie chciałbym, aby oni kiedykolwiek zapomnieli o swoim pochodzeniu — powiedział Jarecki.

— Między sobą zawsze mówią po polsku — uśmiechnęła się Basia i Szymański stwierdził w myślach, że uśmiech przywraca jej dawny wyraz twarzy.

— No więc opowiedzcie coś o sobie... Jak wam idzie? — zaproponował.

W tej chwili zadzwonił telefon. Wiesia poderwała się z miejsca i podniosła słuchawkę.

— Oui, madame — powiedziała. — Toute do suite... Tatusiu to do ciebie — zwróciła się do ojca.

— Mes hommages, madame. Qui, omi, je comprands bien. J'y sorai dans quinze minuts — mówił Jarecki do mikrofonu.

— Bardzo was przepraszam — usprawiedliwiał się — ale muszę wyskoczyć do pacjentki. Za pół godziny będę z powrotem.

— Ależ nie krępuj się! Doskonale to rozumiem. Poczekamy na ciebie. Nie ma przecież pośpiechu — uspokajał go Szymański.

Staszek był już w przedpokoju. Włożył płaszcz. W ręce miał swoją lekarską walizeczkę. Dał się słyszeć odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

— Więc najpierw mieszkaliśmy, jak wiesz na prowincji. W takiej małej dziurze na Południu, w Vaucluse... — opowiadała Barbara.

— Mamo, przerwała jej Wiesia — umówiłam się z Jacqueline. Czy mogę?...

— Naturalnie. Tylko nie zasiedź się z nią zbyt długo.

Wiesia podała rękę Szymańskiemu, skłoniła się lekko i znikła. Za nią podążył Jurek, który też miał jakieś sprawy do załatwienia.

— Macie urocze dzieci — oświadczył Szymański.

— Nowoczesna młodzież. Chwilami wydaje się, że mają serca z kamienia. Nic ich nie wzrusza. Są trzeźwi, chłodni, realistyczni aż do bólu — westchnęła Basia.

— O naszej młodzieży też się tak samo mówi — zaśmiał się Szymański. Sądzę, iż lepiej jest, że oni są tacy właśnie, a nie inni. Nie są zaczadzeni mitami, jak my.

W duchu konstatował, że Wiesia w swojej obcisłej spódniczce i pastelowej bluzce, z tym wysoko upiętymi włosami i smukłymi nogami na niskiej „szpilce", albo Jurek w swoim polo i wąskich spodniach nad wydłużonymi, miękkimi pantoflami rzeczywiście nie różnią się niczym od swych odpowiedników w Polsce. Dawno już był przekonany, że ludzie drugiej połowy XX wieku żyjący pod odmiennymi szerokościami geograficznymi i w krajach o różnych systemach są o wiele podobniejsi, niż im się samym wydaje. Odnosił to nie tylko do wyglądu zewnętrznego, ale i sposobu myślenia i reagowania.

— Na prowincji — ciągnęła dalej Barbara — warunki są zupełnie odmienne niż w Paryżu. Staszek całymi dniami był poza domem. Wciąż przy kierownicy samochodu. Od pacjenta do pacjenta. Ani chwili wytchnienia. Poza tym atmosfera! Było się wciąż pod obserwacją całego miasteczka. Jak na cenzurowanym.

— Cóż, zwykłe zjawisko każdej prowincji — powiedział Szymański.

— Tak, ale my jesteśmy do tego Polakami. Nie należy o tym zapominać.

— Jesteście przecież francuskimi obywatelami.

— Paszport nie zmienia postaci rzeczy. Dla nich pozostajemy obcymi przybyszami.

— Ksenofobia?

— Nie. Tego nie twierdzę. Wypadki ksenofobii są poradyczne, nie mniej obcość pozostaje w ich wyczuciu obcością. To jest trudno uchwytne i nie potrafiłabym ci tego wyjaśnić. W każdym razie jest.

— W czym się wyraża?

— Czy ja wiem?... Weź na przykład zarobki Staszka. Mamy tu prawie dwa razy więcej, niż tam, w Vaucluse, jednakże zawsze o tę jedną trzecią mniej, niż taki sam lekarz francuski, jak Staszek. Przyczyna jest oczywista: francuscy koledzy rzadziej zapraszają etranżera na konsylia; wolą to załatwiać między sobą. Ze strony pacjentów też istnieją pewne hamulce.

— Nie ciąży wam to?

— Przyzwyczailiśmy się. W takiej Anglii, czy Kanadzie jest gorzej pod tym względem.

W przedpokoju rozległy się kroki Jareckiego.

— Zjemy obiad — oznajmiła Barbara i wstała.

— Przepraszam cię raz jeszcze — mówił Jarecki zacierając ręce. Szymański pamiętał u niego ten gest od najdawniejszych czasów. Wspominali teraz zielone lata. Staszek dopytywał się o kolegów szkolnych i uniwersyteckich, o stosunki w Warszawie. Barbara rozstawiała w sąsiednim pokoju talerze i sztućce.

— Do stołu, panowie! — zawołała.

— Pamiętasz, jak przyjechaliśmy do ciebie z Cobourga w marcu 1940 roku? — mówił Szymański. — Zrobiłaś nam wtedy wspaniały omlet!

Barbara chciała coś odpowiedzieć, ale przerwał jej ostry dźwięk dzwonka telefonicznego, który podziałał na Jareckiego, jak ostroga na konia. Jednym skokiem był przy aparacie.

— Mais cortainement, monsieur. Ne vous inquietez pas, j'y vais tonte de suite... — odłożył słuchawkę. — To fatalne, ale muszę znów wyskoczyć. Wybaczycie mi?

— Gorąco cię proszę, nie przeszkadzaj sobie moją obecnością — uśmiechał się Szymański. — Poczekamy na niego — zwrócił się do Barbary, która skinęła głową.

— Napijesz się jeszcze Cinzane? A może whisky? — pytała.

Szymański dostrzegł w jej oczach leciutki cień smutku. Dotknęła wargami kieliszka z rubinowym płynem.

— Macie jakieś konkretne plany co do przyszłości waszych dzieci? — zagaił rozmowę.

— Jurek chce studiować prawo.

— A Wiesia?

— Nie wiemy jeszcze. Jest ładna. Da sobie radę.

— Nie przewidujecie dla niej studiów?

Barbara roześmiała się.

— Od razu widać, że przyjechałeś z kraju. Wszyscy myślicie tam zupełnie innymi kategoriami... U nas nie można sobie pozwolić na opłacenie studiów dwojga dzieci naraz. W każdym razie nie jest to łatwe. Co by się w takim wypadku stało z jej posagiem? A co z naszym zabezpieczeniem starości?

Szymański pokiwał głową.

— Problem posagu stał się u nas rzeczywiście rekwizytem przeszłości — stwierdził.

— Tutaj jest warunkiem dobrej partii dla dziewczyny.

— „Dobra partia"! Jakże dawno już tego nie słyszałem — śmiał się Szymański, ale umilkł, gdy zarejestrował głębokie zdumienie w oczach gospodyni.

— Twoja Ala jest już na drugim roku medycyny, jeśli się nie mylę? — powiedziała Barbara.

— Na trzecim — poprawił gość. — A Julka będzie zdawała w czerwcu na filologię polską.

— Macie dla nich na widoku jakichś przyszłych „wybranych"?

Szymański znów nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, z taką powagą było postawione to pytanie.

— Nie zastanawiamy się nad tym — potrząsnął głową. — Same sobie znajdą tak zwanych towarzyszy życia.

— Dziwny ten wasz świat! — wyrwało się szczerze Barbarze. Przeprosiła gościa i poszła do kuchni. Mięso się mogło przypalić.

Jej nieobecność trwała dosyć długo i tymczasem Staszek wrócił od swego chorego.

Zaczęli jeść. Po przystawce, przy zupie, Jarecki opowiadał, że musi sobie kupić nowy samochód.

— Ależ dlaczego? — zdziwił się Szymański. — Przecież ten twój jest w doskonałym stanie.

— Masz rację, ale Chambard sprawił sobie „DS". Widziałem teraz wracając przed jego domem.

— Kto to jest Chambard?

— Basia ci nie mówiła? To lekarz przy sąsiedniej ulicy. Też internista, jak ja

— Jego confrere i konkurent — wyjaśniła Barbara

— Aha — przytaknął, niczego nie rozumiejąc gość.

Jarecki spostrzegł to od razu.

— On jest — powiedział do Barbary wskazując żartobliwie kciukiem Szymańskiego — zupełnie dziewiczy. Nic a nic nie pojmuje z tutejszych stosunków. Kompletna tabula rasa!

— Już to skonstatowałem — uśmiechnęła się gospodyni.

Oboje patrzyli przez chwilę na Szymańskiego tak, jak się ogląda kogoś bardzo „zielonego" w najoczywistszych sprawach. Ten rozłożył tylko ręce w geście wyrażającym bezradność.

— Poddaję się! — zawołał ze sztuczną emfazą. — Uświadomcie mnie więc o przedstawiciele cywilizowanego świata!

— Musiałbym tu dłużej pobyć — odezwał się Jarecki. — W każdym razie co do samochodu, przyjm do wiadomości, że jeśli mój konkurent kupił sobie nowy wóz i ponadto wyższej klasy od mego, wówczas i ja nie mogę pozostawać w tyle.

— Dlaczego?

— Dlatego, że straciłbym pacjentów. Od razu powiedzieliby: „skoro ten lekarz i do tego cudzoziemiec nie może sobie sprawić nowego wozu, to znaczy, że nie ma pieniędzy, a jeśli ich nie ma to z kolei oznacza, że brak mu pacjentów w dostatecznej liczbie; skoro zaś brak mu tych pacjentów, wniosek stąd, iż nie jest dobrym lekarzem i należy go unikać"... Jasne?

— Równie jasne, jak niewesołe.

— U was jest inaczej? — zapytała Barbara.

Gość nie zdążył odpowiedzieć, gdyż dał się słyszeć dźwięk dzwonka telefonicznego i Jarecki błyskawicznie wybiegł z pokoju.

Wrócił już w płaszczu i z walizeczką w ręce. Prosił, aby na niego nie czekali. Zje trzecie danie, gdy będą przy deserze i w ten sposób ich dogoni. W ciągu kilku sekund już go nie było.

— Tak jest w każdą niedzielę? — zainteresował się Szymański.

— O tak! — potwierdziła kobieta. — Chwała Bogu, Staszkowi nie brak pacjentów. Jest bardzo wziętym lekarzem.

— A w tygodniu?

— W dni powszednie, Staszek jest między 7,30 a 11 w szpitalu, potem ma trochę wizyt. Po południu ordynuje w swoim gabinecie i dalej znów ma wizyty domowe u pacjentów.

— Jest bardzo zapracowany.

— Nie więcej, niż inni lekarze — powiedziała obojętnie.

Rozmawiali jeszcze o pracy uniwersyteckiej Szymańskiego, raz po raz nawiązując do wspólnych wspomnień młodości. Jarecki, zgodnie z zapowiedzią, przybył, gdy docierali do deseru.

— Jesteś zmęczony? — zapytał gość przyjaciela.

— Hm... — westchnął Staszek i zaczął trzeć pięściami oczy, co jeszcze w gimnazjum było u niego oznaką znużenia.

— Powinieneś dobrze odpocząć. Możebyście tak przyjechali w tym roku na wakacje do nas, do kraju? Nie znacie Jezior Mazurskich, tamtejszych lasów, zamków krzyżackich, naszej Warmii... Kapitalny teren dla relaksu. Zapewniam was, że nie ustępuje w niczym okolicom Loary — przekonywał Szymański, ale w odpowiedzi znów usłyszał westchnienie.

— No więc? — napierał.

— Nie wiemy nawet kiedy weźmiemy wakacje — powiedziała Barbara.

— Jakto nie wiecie? Dlaczego?

— Margot nie doniosła ci jeszcze, w jakim terminie pojedzie na urlop Chambard? — zwrócił się Jarecki do żony.

— Nie. Podobno on chciałby najpierw znać twój termin.

— To można by ostatecznie zrobić — mruknął na pół do siebie Staszek. — Trzeba by rzucić słówko Margot. Niech mu powie. Zobaczymy jak na to zareaguje.

— Jak chcesz... — dorzuciła Barbara.

— Nie rozumiem co ma Chambard do waszych wakacji? — zniecierpliwił się Szymański, dla którego ostatnia wymiana zdań między małżonkami była całkowitą chińszczyzną.

— Naturalnie, że nie rozumiesz kochaneczku. — Jarecki przechylił się przez stół i poklepał go pobłażliwie po ramieniu. — Wyjaśnij mu to Basiu — polecił żonie. — Niech się zapozna z naszym folklorem.

(Dokończenie w następnym numerze)

RYS. JERZY SIENKIEWICZ

Korespondencja

W sprawie „Sublokatora"

Droga Redakcjo!
Niedzielny „Widnokrąg" „Nowin Rzeszowskich" dostarczył nam niemałej rozrywki.

Bo jakże małoduszny jest autor artykułu, p. Loebl pt. „Sublokator". I na cóż się Pan skarży? Na biednego Sublokatora - staruszka - traktora, który o szóstej rano robi swoje bach-bach. Czy to jest problem, który wymaga aż takiego artykułu. Stajemy się bardzo delikatni, wymagający, okrutni, mało tego — w głowie nam się przewraca.

Bo trzeba nie mieć sumienia, aby w taki podły czas żądać eksmisji staruszka. My też w naszym bloku, Nisko, ul. Rzeszowska 6 mamy kilku staruszków - sublokatorów, których chętnie za tego bach-bach wymienimy. Na przykład taka staruszka - sublokatorka - kotłownia w piwnicach, która nam żre nerwy swoim warzeniem i huczeniem przez 6 miesięcy w roku, na którą nie ma sposobu, mimo że wypisano kupę papieru i do „Nowin" i do „Fali 56". Weźmie Pan, z dopłatą podarujemy.

A może sublokator - staruszek-wulkan usypany z popiołu dokładnie 3 m od okien z tejże kotłowni - staruszki, który dymi i kurzy w nasze okna i w mieszkaniu mamy pełno czadu i popiołu. Przyjemna taka rzecz. Przy odrobinie wyobraźni można go potraktować jako autentyczny wulkan.

Jest jeszcze trzeci. Sublokatorka-staruszka-karuzela, która jest przewidziana na drugą zmianę w miesiącach letnich do zluzowania kotłowni. Karuzela-staruszka ustawiona jest też pod oknami (bo Nisko to Warszawa, trzeba każdą piędź ziemi wykorzystać), na której od godz. 6 do 11 wieczorem wyje i ryczy koło setki dzieci.

Sądzimy, że jednak może Pan zdecyduje się na któregoś sublokatora.

Jeśli Pan się zdecyduje, prosimy ogłosić to w „Nowinach", a chętnie z pokryciem kosztów transportu dostarczymy na miejsce w zamian za nieznośnego sublokatora Pana. Najbardziej będzie nam odpowiadała zamiana kotłowni i karuzeli.

Z poważaniem

Mieszkańcy bloku
ze szczególnym uwzględnieniem parteru

* * *

List Wasz wzruszył mnie do łez. Przeczytałem go również memu staruszkowi - sublokatorowi - traktorowi, który ostatnio milkliwy jakiś się zrobił i osowiały, chociaż czasami jeszcze — ho, ho! — jak się rozochoci... Ale widać jednak, że go coś gnębi. Martwi się, jeśli się nie mylę, o to, że ten młodzik „Zetor" chce go wygryźć z posady.

No cóż, tak to już jest, że starsi wiekiem odchodzą na rentę, a miejsca ich zajmują młodsi. Lecz chociaż wszystko dzieje się według odwiecznego prawa natury — to jednak smutno... Więc gdy mu przeczytałem Wasz list, taki ból się w jego nadtłuczonych latarniach objawił, że nie mogłem, no wierzcie mi, naprawdę nie mogłem mu powiedzieć, że zamierzam go zamienić za Wasz wulkan. Kotłownia mnie raczej nie interesuje. Wulkan tak. Ogromnie. Jestem przekonany, że gdybym był właścicielem wulkanu, moja pozycja towarzyska poprawiłaby się co najmniej o dwieście procent. Tylko gdzie go umieścić? Jeżeli uda mi się załatwić w kwaterunku dodatkowy „metraż" — natychmiast do Was przyjeżdżam!

Na kotłownię próbowałem namówić kilku kolegów. Nikt nie chce. To samo z karuzelą. Twierdzą, że już mają.

Wszystko, co na razie mogę zrobić, to przyjąć od Was część dzieci. Klatka schodowa bloku, w którym mieszkam, jest jeszcze tu i ówdzie jakby „niezadzieciona".

Ażeby jednak nie było potem nieporozumień, zaznaczam od razu: dzieci (prócz tego, że, jak piszecie, potrafią wyć i ryczeć) muszą umieć ponadto gwizdać i tupać, muszą znać również zasady zabawy w „Bonanzę", Zorro", „Hrabiego Monte Christo" i „Kapitana Sowę". Inaczej poczują się tu wyalienowane, co może niekorzystnie odbić się na ich dalszym rozwoju.

Z poważaniem

Bogdan Loebl

JERZY WALAWSKI

PRECZ Z BAŁWANAMI

Opady atmosferyczne, jak zwykle zaskoczyły przedsiębiorstwo oczyszczania miasta, które ułożyło śnieg w zgrabne pryzmy na chodnikach, tarasując przejścia. Teraz wszyscy z utęsknieniem czekają odwilży, która problem odśnieżania rozwiązuje najradykalniej. Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak ulepić sobie bałwana i palnąć mu reprymendę na temat nieoczyszczonych chodników i ulic, wycofanych z linii autobusów PKS, spóźnionych pociągów i w ogóle zimy, która ośmieliła się przyjść już w styczniu, co przy naszym tropikalnym klimacie jest zjawiskiem zaiste niespodziewanym.

To przemówienie wygłoszone do śniegowej kukły oczywiście nie odniesie skutku, podobnie jak coroczne mowy na temat śniegowych klęsk adresowane do tzw. „czynników kompetentnych", ale przynajmniej bałwanowi można nawymyślać ile wlezie, nie przebierając w słowach, bez obawy, że narazimy się na proces o zniesławienie. W innych przypadkach należy raczej uważać na dobór słów, wyrażać się oględnie, eufemistycznie, lepiej zawsze powiedzieć, że ktoś „zagarnął" mienie, a nie ukradł, bezpieczniej ochrzcić faceta „defraudantem" niż pospolitym złodziejem, a już broń Boże wtrącić się do prywatnego życia owego złodziejaszka, napisać o tym ile futer zafundował swoim kochankom, z iloma kociakami spał w zakopiańskich hotelach... Okaże się, że do tych intymnych stref nie wolno się wtrącać, fundował, bo miał takie „hobby", spał, bo często bywał śpiący itp. itd. A, że to wszystko za nasze pieniądze...? To już rozdział odrębny.

Piszę to wszystko na marginesie procesu przedsiębiorstwa tekstylno-odzieżowego w Szczecinie, gdzie znów spora grupka macherów handlowych wykorzystała duży popyt na pewne artykuły tekstylne i stworzyła sobie z tego wcale intratne źródło dochodów, ciągnąc zyski z klientów, a także dlatego, że w Krakowie trwa proces grupy byłych pracowników baru „Smok" oskarżonych o kradzież, przepraszam, o zagarnięcie ponad miliona złotych. Oczywiście znów poszkodowani byli konsumenci, którzy zamiast zupy pili wodę, zamiast piwa łykali pianę, jedli mniejsze befsztyki i kotlety, sznycle z podwójną porcją bułki, zapijali herbatą koloru słomki.

Swego czasu wyliczyłem dość precyzyjnie, że na zwykłej herbatce można zrobić ciężką forsę bez najmniejszej wpadki, a co dopiero, jeżeli mamy taki asortyment, jak wódka i piwo. Tu trzeba by wyliczyć złodziejaszkom takie kwoty, żeby przestała się opłacać odsiadka, żeby po wyjściu z hotelu za kratkami taki pan czy pani, zaczynali od zera, od kupienia pary butów, od kupienia garniturku z najtańszego materiału, od koszulki jednej na piątek i świątek, od bawełnianych skarpetek... A po uprawomocnieniu się wyroku zajałbym się właśnie prywatnym życiem złodziejaszków, odwiedziłbym ich mieszkania, porozmawiałbym z

(Ciąg dalszy na str. 6)

Pod urokiem WIENIAWSKIEGO

Obok Fryderyka Chopina złotymi zgłoskami na międzynarodowym rynku muzycznym zapisano Henryka Wieniawskiego — wielkiego skrzypka - wirtuoza i znakomitego pedagoga. Rozsławił on imię Polski nie tylko w całej Europie, ale podbił też serca melomanów obu Ameryk. Nic więc dziwnego, że gdy w marcu 1935 r. w setną rocznicę urodzin sławnego polskiego wiolinisty, urządzono z inicjatywy jego bratanka — Adama Wieniawskiego, I Konkurs Skrzypcowy — do udziału zgłosiło się 160 skrzypków z 23 krajów. Laureatami wówczas zostali m. in. Dawid Ojstrach — ZSRR i Bronisław Gimpel — Polska.

Jednak pełnego rozmachu nabrały Konkursy poświęcone Henrykowi Wieniawskiemu dopiero po 1945 r. Bowiem wraz z Konkursem wirtuozowskim dla młodych skrzypków, organizowanych co 5 lat, powołano dwa dalsze: Konkurs Lutniczy i Konkurs Kompozytorski. Te ostatnie od 1957 r. poprzedzają Konkurs Skrzypcowy.

W ostatniej dekadzie marca br. w dniach 21—31 — rozstrzygnie się III Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski im. Henryka Wieniawskiego. Jury, składające się z 6 wybitnych kompozytorów (3 cudzoziemców i 3 przedstawicieli Polski) zapozna się z nadesłanymi pracami i wyłoni laureatów I i II nagrody.

Regulamin III Konkursu wprowadza zasadnicze zmiany. Poprzednie konkursy kompozytorskie przewidywały kompozycje wyłącznie na skrzypce z towarzyszeniem fortepianu, stanowiące całość o czasie trwania 8—12 min. Przedmiotem obecnego jest również utwór jednoczęściowy na skrzypce, o tym samym czasie trwania, lecz skrzypcom ma towarzyszyć orkiestra kameralna wybrana spośród fletu, oboju, klarnetu, fagotu, waltorni, trąbki, puzonu, harfy, fortepianu, wiolonczeli, kontrabasu i perkusji (zestaw na 1 osobę). Tak więc organizatorzy dają o wiele większe możliwości twórcom, otwierają przed nimi szerokie pole do inwencji artystycznej.

Dalej, jeden z nagrodzonych utworów wejdzie do obowiązkowego repertuaru kandydatów do III etapu V Międzynarodowego Konkursu Wykonawczego im. Henryka Wieniawskiego, który odbędzie się tradycyjnym już zwyczajem w Poznaniu w dniach 4—19 XI 1967 r.

Zanim zacznie obrady wysokie jury III Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego przypomnijmy sobie kilka danych z poprzednich imprez. I tak na pierwszy Konkurs, który odbył się w Warszawie w 1956 r. — nadesłano 128 utworów. Jury pod przewodnictwem Grażyny Bacewicz — znakomitej polskiej kompozytorki i skrzypaczki — nie przyznało I nagrody. II nagrodę uzyskała „Burlesque" Belga Wiktora Legle'a.

Na II Konkurs Kompozytorski (Poznań — 1962 r.) nadesłano 52 prace, z których wyróżniono kompozycje zmarłego przed rokiem w Paryżu, polskiego kompozytora Michała Spisaka. Sądowi konkursowemu przewodniczył wówczas, dziś nie żyjący również — Tadeusz Szeligowski.

III Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski inauguruje więc trzy poważne i cenione polskie imprezy muzyczne o zasięgu międzynarodowym, związane z imieniem i twórczością jednego z największych polskich wirtuozów skrzypiec Henryka Wieniawskim, imprezy, które zakończą się w listopadzie 1967 r.

M. G.

Cztery spektakle teatralne w siedmiu dniach — to rzeczywiście obfitość nadmierna w polskiej TV. Upłynął nam ten tydzień wśród nich zupełnie znośnie i musimy darować telewizji tę resztę papkowatych programów, którymi w równej obfitości zwykła nas częstować od lat. Oczywiście, że i między nimi znalazło się parę rodzynków, do których za chwilę powrócę, ale też nic w tym nadzwyczajnego, bo na ogół zawsze po okresie bardzo niedobrym, kiedy człowiek zastanawia się w imię czego siedzi przy telewizorze, trafia się program pytanie owo wyjaśniający i... świątek toczy się dalej.

Urodzaj teatralny rozpoczęła premiera czwartkowego „Sfinksa" — „Współczynnik wyobraźni" Z. Safiana, w reżyserii Wohla z tak dobrym aktorem jak Janczar, gdzie najtrudniej autorowi było udowodnić tytuł własnej sztuki, w której wszystkie sensacje rodził jakby na przekór brak wyobraźni. Osobiście jestem zdania, że „Sfinks" coraz bardziej dopasowuje swe spektakle do mentalności naszych pociech, które z niesłabnącym zainteresowaniem śledziły niewybredne perypetie przybysza z dalekich planet i ani im w głowie było mieć za złe Janczarowi, że nałonie udawał nieszczęśliwego dziwoląga, posługując się aparaturą „opracowaną" przez małego Jasia.

Teatr TV z Łodzi zaprezentował znakomite, pełne dramatyzmu zwarte konstrukcyjnie przedstawienie „Henryka IV" w reżyserii Minca z rewelacyjnym Krzysztofem Chamcem. Był to spektakl tak świetny, że najlepsze pozostawią po nim wrażenie niedoskonałości. Trudny, zawikłany i nieco przydługi na scenie normalnej Henryk IV, o bardzo nośnych dialogach, nabrał w łódzkim przedstawieniu zwartości i był czytelny, co uważam za duże osiągnięcie. Koncentrował uwagę widza zwłaszcza na filozoficznej stronie spektaklu, która przejmująco udowadnia, że lepsze czasem pozorne szaleństwo, byle z dala od zakłamanego świata z jego własnymi pozorami. Aktorzy grali anielsko, z wyrafinowaniem mknąc przez gąszcz pirandellowych przewrotności, a sam Henryk IV — Chamiec, koncertował, tworząc kreację: grał głosem, twarzą, w której ważna była każda zmarszczka, każde drgnienie powieki. Spektakl — sama doskonałość, po którym zbladła warszawska „Aszantka", dysponująca doborową obsadą i infantylnie groźną Czyżewską w roli tytułowej.

Zestarzał się jednak Perzyński, jego ironiczny kamuflaż był miejscami nie do zniesienia. Poza tym reżyser — S. Brejdygant odnosił się do tej precyzyjnej ramoty z tak nabożnym pietyzmem, że wlokła się przez półtorej godziny, co wydaje mi się niedopuszczalne w telewizji, która z „Kordiana" potrafiła zrobić godzinny spektakl, co jej po wsze czasy mieć będę za złe. Voit był zaś tak piekielnie dramatyczny, tak serio wstrząsający, tak patologicznie zadurzony w cynicznej Aszantce, że czynił z findesieclowej komedii co najmniej szekspirowską tragedię.

Niedzielne „Studio 63" Adam Hanuszkiewicz, za co mu chwała, zamienił ostatnio w historię poezji polskiej i dał nam znakomity zestaw społeczno-politycznej poezji renesansowej, w której pyszniło się imię Jana z Czarnolasu i staropolskie pieśni chóru Stuligrosza. Piękne to zamierzenie Hanuszkiewicza na bieżący rok, by dać nam jakiś przekrój najznakomitszych poetów polskich zasługuje na szczególną atencję widzów.

Z programów publicystyczno-naukowych, jak zwykle pomysłowy Karol Lubelczyk, w bardzo trudnym temacie medycznym w miniony czwartek znowu udowodnił, że nie ma spraw nudnych czy nie interesujących, jeżeli bierze się za nie stary majster. Mówiono w tym programie o diagnostyce i promieniotwórczości tak, jak mówi się o sensacyjnym filmie szpiegowskim. Talent Lubelczyka czyni godnym polecenia każdą audycję przezeń opracowaną; jest z tych, co nie potrafią zawieść telewidza.

Sobotnią „Wielką giełdę" także zaliczyłabym do tych programów rozrywkowych, w których jeśli nie ma nawet znakomitych wykonawców, to jest inteligentny scenariusz, pomysł i dynamika. Cóż za ulga — kiedy wykonawcy, śpiewając, nie kontemplują przemijania czasu i rzeczy, ba, nawet są autentycznie weseli, gdyż dano im prawo do uśmiechu, nie udziwniono, nie puszczono w las abstrakcyjnych kółek, wisiorków — całej migocącej tandety, na tle której nawet najlepszy piosenkarz prezentuje się jak niedouczony iluzjonista.

I jeszcze „Sportowa Niedziela" — audycja, na którą czekają miliony, a w której rzadko coś się dzieje niezwykłego, tym razem zaprezentowała popularnego spikera Eugeniusza Pacha z komentarzem o rajdzie samochodowym do Monte Carlo, wygłoszonym z nerwem. Była to świetna, odważna publicystyka, do jakiej dość trudno przywyknąć w sporcie. Pomyśleć, że w tym archeologu i spikerze naraz, drzemią tak rozliczne talenty!

O niespodziankach następnych 7 dni w telewizji — za tydzień.

KRYSTYNA

WOLNOŚĆ SUMIENIA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wateli państwa, jak również za stawianie oporu władzy, za podburzanie przeciw władzy lub innym obywatelom.

Podobne ograniczenia stanowi obowiązująca dotąd Konstytucja Federalna Konferencji Szwajcarskiej z 29 maja 1874 r. art. 50 tej Konstytucji głosi m.• in.: „Swobodne wykonywanie kultów jest poręczone w granicach zgodnych z porządkiem publicznym i dobrymi obyczajami. Kantony i Konfederacje mogą podejmować niezbędne środki dla utrzymania porządku publicznego i pokoju między wyznawcami różnych związków religijnych, a także ukrócenia zamachów władz kościelnych na prawa obywateli i państwa... Na terytorium Konfederacji nie mogą powstawać nowe biskupstwa bez zgody Konfederacji" Niewątpliwie z uwagi na charakter działalności niektórych zakonów, konstytucja ta stanowi w art. 51: „Zakon Jezuitów oraz stowarzyszenia religijne z nim związane nie są dopuszczalne w żadnej części Szwajcarii, a jego członkom zakazana jest wszelka działalność w kościele i w szkole. Zakaz ten może być w drodze postanowienia federalnego rozciągnięty również na inne zakony...". art. zaś 52 głosi: „Nie wolno zakładać nowych klasztorów i zakonów oraz przywracać do życia tych, które już zostały skasowane".

Najdalej bodaj idące ograniczenia w imię zapewnienia pełnej wolności sumienia i wyznania, wprowadza konstytucja Meksyku z 1917 roku. Konstytucja ta, gwarantując w art. 24 każdemu człowiekowi „swobodę wyznawania religii", jaka mu się najbardziej podoba i w praktykowaniu obrzędów, rytuałów lub aktów odnośnego kultu", zastrzega m. in., że: a) władze federalne sprawują nadzór nad działalnością poszczególnych grup religijnych, b) ciała ustawodawcze uprawnione są do określenia liczby duchownych poszczególnych wyznań, c) duchownym nigdy nie wolno, na publicznym czy prywatnym spotkaniu, tworzącym zebranie lub w działalności wyznaniowej czy religijnej krytykować zasadniczych ustaw kraju lub władz rządowych w sposób wyraźny lub ogólnie, d) że duchowni nie będą posiadali ani czynnego, ani biernego prawa wyborczego, ani też prawa do tworzenia zrzeszeń do celów politycznych, e) instytucje przeznaczone do zawodowego kształcenia duchownych nie mogą mieć mocy prawnej, f) otwieranie miejsc kultu religijnego wymaga zezwolenia władz i poddania się ich kontroli, g) czasopisma o charakterze wyznaniowym nie mogą poruszać spraw podstawowych, politycznych ani żadnych informacji na te tematy, h) ugrupowania polityczne, których nazwa zawiera jakiekolwiek słowo lub wskazówkę pokrewną z wyznaniem religijnym są surowo wzbronione.

EDWARD GRZELAK

NA WPROST

A TO CI SZOPKA

Dostało się w niej sporo ojcom miasta, komunikacji miejskiej, kolejom państwowym (z nami jeszcze nikt nie wygrał — pasażer jest winien wszystkiemu), „opędziarzom" z klubu na poczcie. Pokazano nam wierny obraz kawiarń rzeszowskich — Śródmiejskiej, w której małą czarną można sobie wybrać nie w bufecie, lecz przy stolikach na sali, bo tu się zawsze łatwo dogada „z czeławieczkom czeławiek", „Pstryka" — w którym „szafa gra", a mło dzież rzuca mięsem i „Kosmosu", w którym karaluchy zjadły pantofle pewnej pani doktorowej, więc musiano przeprowadzać dezynfekcję.

Była mowa i o problemach biologicznych w rzeszowskiej kulturze, o dzielnym rzeszowskim sporcie, o wielu jeszcze sprawach i sprawkach, m. in. z celną złośliwością o „Rzeszowskich Targach Piosenki". Nie zabrakło w szopce również dziennikarzy, a raczej tym razem dziennikarek, co dobrze świadczy o ich popularności w mieście. W sumie świetna zabawa, co chwilę przerywana przez publiczność oklaskami.

Spektakl w nader skromnych warunkach, na ciasnej estradzie przebiegał barwnie i potoczyście z dobrym kabaretowym nerwem. Wykonawcy dobrze sobie radzili z piosenką i wierszem, podawali tekst lekko, z przymrużeniem oka, a o to chyba w szopce chodzi. Zasługa w tym nie tylko „Meluzyny" — zespołu tak u nas znanego, iż mu pochwał nie trzeba, lecz również reżysera spektaklu nie mniej popularnego Erazma Bucheldta. Szopkę muzycznie opracował i akompaniował podczas przedstawienia Andrzej Listwan.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, iż to już, jak wspomniałem, trzecia kolejna szopka rzeszowska tego samego autora i w tym samym wykonaniu. Wytwarza się w ten sposób dobra tradycja warta kontynuowania w przyszłości. Ostatecznie nie najgorsze to miasto, w którym co roku można wystawiać satyryczną szopkę na dobrym poziomie, złośliwą i dowcipną i nikt nie obraził się na tyle, by temu zapobiec. Ale trudno u nas wszystkim dogodzić. Bo mimo wszystko na ogół wielu jest niezadowolonych i trochę obrażonych — i ci, którzy są w szopce i ci, których tam nie ma. W gruncie rzeczy przecież wszyscy się do szopki nadajemy.

JOTGIEL

Precz z bałwanami

Ciąg dalszy ze str. 5)

sąsiadami — ludzie lubią mówić, chętnie powiedzieliby na jakiej stopie żył pan X lub Y, okazałoby się wtedy, że za owe 200 złotych miesięcznie nie stać by go było ani na jedną dziesiątą część luksusu, którym się otoczył.

Znów słyszę głosy, że to zamach na wolność obywatela, zamach na jego prywatne życie, że konstytucja gwarantuje itd. Zgoda, ale czy może zasłaniać się prawem do wolności ten, kto łamie zasady współżycia, kto przekracza prawo, kto wreszcie dokonuje zamachu na nasze mienie, kto okrada obywateli i państwo. Wydaje mi się, że mam prawo wiedzieć na co przeznaczał moje pieniądze ten czy inny złodziej.

Ważna jest jeszcze inna sprawa w tym kontekście — skuteczność kary. X i Y idą do więzienia, X i Y zostali skazani, o X i Y pisała prasa przy okazji procesu, czasami nawet kryjąc ich nazwiska za inicjałami. Sprawa cichnie po kilku miesiącach, panowie opuszczają kryminalik po dwóch latach, skruszeni, wychowani, przenoszą się do innej miejscowości albo się nie przenoszą i koniec. Gdyby poświęcono więcej uwagi ich życiu prywatnemu, ich dorobkowi, ich środowisku, ich kontaktom nawet towarzyskim — kara byłaby niewspółmiernie cięższa. Ludzie pamiętaliby dłużej tego, co na lewo i na prawo szastał ich pieniędzmi. Uczciwi odsunęliby się także od tych, którzy swego czasu korzystali z łask i dobrodziejstw złodzieja. Kara byłaby stokroć cięższa, ale my nie umiemy wykorzystać presji opinii publicznej.

Skutek jest taki, że jeżeli pojawi się czasem bardziej szczegółowe sprawozdanie z procesu, to znajdzie się ktoś współczujący, kto powie: „nie kopie się leżącego". Niby, że dziennikarz jest nie „fair" i pognębia nieszczęśnika, któremu się powinęła noga. Współczujący jest człowiekiem honoru, zapamiętałym humanistą, a przy tym wszystkim zdaje sobie sprawę, że nieszczęścia chodzą po ludziach — no i sam pracuje w takiej branży, że nigdy nic nie wiadomo... Współczujący potwierdza to, co powiedziałem poprzednio, że wielu z pośród złodziejaszków wolałoby posiedzieć o rok dłużej niż być rozsławionym i przejść do potomności w rubryce „Prywatne życie kanciarza".

Kończę swój list. Zdenerwowałem się, zaraz wyjdę na podwórze, ulepię sobie pokaźnego bałwana i nawymyślam mu... za wszystko. Chyba przyniesie mi to ulgę, a jak nie, to dam bałwanowi w pysk. Z jednej, z drugiej, niech nie podskakuje!!!

EUGENIUSZ WYSKIEL — dyrektor Ośrodka Usług Pedagogicznych ZNP w Rzeszowie.

RYS. JERZY SIENKIEWICZ

Opowiadania folklorystyczne

Sokołów Małopolski

Nasz Sokołów przy powiecie trochę teraz na psy zeszedł, ale dawniej królom polskim był od Kolbuszowej milszy. Tam robiono piękne meble, tu gnieździły się sokoły. Tam słynne były jarmarki, tu słynniejsze z sokołami polowania. W Sokołowie ptasznicy edukowali te ptaszyska i od żółtodziobów zaprawiali do polowań władcom Polski.

Kiedy korona ciążyła, tutaj dla wytchnienia przyjeżdżali i w lasach się od uganiaczki za zwierzem rozlegało. A kiedy grubego zwierza dosyć w kniei się natłukło, kierowano się na łąki i na pola z sokołami. I wtedy spadały one na zające, kuropatwy, na jarząbki, jak pioruny. Nawet taki co trząsł krajem, tutaj trząsł brzuchem z uciechy. Poznawał, że szczęście leży nie w koronie, ale kapie z nieba słońcem. Nie chce monarszej purpury, a z upodobaniem kucnie w blasku ogniska z jałowców. Apetyt ludzki zaostrzy nie pieprznymi korzeniami, ale beztroską radością.

Ile dawniej w naszym mieście zjedzono turów wprost z rożnów, a ile innej zwierzyny! Zajączek czy kuropatwa, jarząbek lub mniejsze licho — były zaledwie na wety, wypiekane pod strasznymi w łunie ognisk drzewiskami. Po ogromnym drzewostanie z tamtych czasów tylko ślady: stare śniaty w mieście na Placu Sokoła. A pamiątką po świetności herb prastary ze sokołem na gałęzi dębu.

Opowiedział: **Wincenty Matuła z Turzy, pow. Kolbuszowa.**
Opracował: **WŁADYSŁAW DŁUGOSZ**

Zdarzenia tygodnia

W dniach 22—24 stycznia w rzeszowskim WDK odbyło się seminarium dla zaawansowanych instruktorów i konsultantów amatorskich zespołów teatralnych, którzy pracowali nad inscenizacją „Na pełnym morzu" Sławomira Mrożka oraz wysłuchali wykładów na temat kultury mowy i dziejów dramatu i teatru (średniowiecze i renesans). Przedyskutowano również założenia programowe wojewódzkiego klubu reżysera amatora. Uczestnicy seminarium wybrali zarząd klubu, którego przewodniczącym został Antoni Grochowski, wieloletni działacz ruchu teatralnego z Jasła.

* * *

W dniu 25 bm. w Korczynie, pow. krośnieński, odbyło się wyjazdowe wspólne posiedzenie Komisji Kultury, Sportu i Turystyki WRN z Komisją Oświaty i Kultury PRN w Krośnie i gromadzką Komisją Oświaty, Kultury i Spraw Socjalnych w Korczynie, poświęcone omówieniu działalności kulturalnej w powiecie ze szczególnym uwzględnieniem działalności bibliotek.

* * *

Wydział Kultury Prez. WRN, Zarząd Okręgu Zw. Zaw. Prac. Rolnych, ZW ZMW, ZWKR i WZGS zorganizowały w dniu 26 bm. w Rzeszowie wojewódzką konferencję aktywu kulturalno-oświatowego, poświęconą omówieniu zadań w upowszechnianiu kultury na wsi. Podczas narady omówiono zadania w tej dziedzinie ze szczególnym uwzględnieniem państwowych gospodarstw rolnych i spółdzielni produkcyjnych.

* * *

W Siedleszczanach (pow. Tarnobrzeg) amatorski zespół teatralny, działający przy miejscowej OSP, wystawił w dniu 23 bm. „Ożenek" Mikołaja Gogola w przekładzie Juliana Tuwima. Sztukę przygotował Jan Bawołek, miejscowy działacz teatralny.

* * *

W dniu 27 stycznia w Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Rzeszowie odbyła się narada instruktorów kulturalno-oświatowych zarządów okręgów zw. zaw., poświęcona omówieniu przygotowań do imprez, organizowanych w ramach festiwalu kulturalnego związków zawodowych.

* * *

Powiatowe Rady Narodowe w Przeworsku, Ustrzykach Dolnych i Krośnie powołały ostatnio Powiatowe Ośrodki Metodyczne, mające za zadanie szkolenie aktywu k.o., niesienie pomocy metodycznej zespołom i placówkom. Tym samym POIM działają już we wszystkich powiatach z wyjątkiem miasta Rzeszowa i powiatu.

* * *

W Tarnobrzegu powołano ostatnio nową Powiatową Radę Klubów, która będzie działać przy KP PZPR.

Nowo wybrana Rada ustaliła ambitny plan pracy, zakładający m. in. tworzenie nowych klubów „Ruchu" i gminnych spółdzielni oraz szkolenie zatrudnionych tam pracowników.

„Burzyciel moralności"

Nie za siedmioma górami, nie za siedmioma lasami, w wielkim zakładzie na terenie województwa pracował sobie pewien brygadzista elektromonter. Zapewne nic w tym szczególnego. Wiele jest zakładów na ziemi rzeszowskiej i wielu brygadzistów. Nasz „bohater" — z czego nie należy robić tajemnicy — miał niezwykłego konika. Uwielbiał sztukę.

Zdania mogą być podzielone; czy była to miłość do sztuki mięsa, czy do sztuki zapładniającej nasze życie duchowe. Tak czy owak na dobro brygadzisty trzeba zapisać, że swoje upodobania kulturalne realizował konsekwentnie.

Nie należał do tych szczęśliwców, co trafili szóstkę w toto-lotka, nie miał też bogatej cioci w Ameryce. Brak funduszów nie zraził jednak zapaleńca. Wiele wyrzeczeń i niemało czasu pochłonęło mu fotografowanie dzieł mistrzów, które utrwalał na zdjęciach. Wytrwałością i pracą nasz hobbysta dorobił się niezwykłej i chyba jedynej w kraju galerii. Gwoli ścisłości wspomnę, że choć miał wysokie wymagania artystyczne, tematyka była dość wąska: „Maja naga" Goyi, „Wenery i bachantki" Rubensa, „Wenus" Tycjana i nagie ciała Renoira.

Być może, że kustosz tej niezwykłej galerii studiował zagadnienia dynamiki ciała, albo po prostu lubił okrągłą, pełną i soczystą sztukę...? Nikt nie wie też dlaczego tę wyspecjalizowaną galerię eksponował w podręcznym magazynie na narzędzia, którym dysponował. Kto zna wrażliwość artystyczną małżonek nie będzie się dziwił. Zostawmy raczej te sprawy otwarte.

Trudno jednak uwierzyć człowiekowi, że galeria ta dokonała masowych spustoszeń moralnych. Nie sądzę, aby widok gołego zadka, który tak po mistrzowsku odtworzył Rubens, musiał zaświntuszyć naszą wyobraźnię. Obsesja seksualna nie wszystkie trafia głowy.

A jednak... Pan inżynier, przełożony niefortunnego wielbiciela sztuki, poleca zniszczyć gorszącą ekspozycję. Pół biedy! Tak było najprościej, ale to nie wszystko!

Anno Domini 1966. Brygadzista otrzymuje naganę służbową z wpisaniem do akt. I wierz tu człowieku, że Eros niejednego natchnął miłością do sztuki.

Strach pomyśleć, co by pan inżynier uczynił z takim „burzycielem moralności" pół wieku temu?

— Czasem i cnota uderza na mózg! Ale nie jest to moralnie obojętne.

Redaguje: EDMUND GAJEWSKI
Red. ilust. JERZY SIENKIEWICZ

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 138 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.